

Katarzyna Droga.
POKOLENIA



*Wiek deszczu,
wiek słońca*



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Ewelina Burska

Projekt okładki: Agata Droga

Wykonanie okładki: Jan Paluch

Autorka ilustracji: Agata Droga

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Katarzyny Drogiej oraz Shutterstock.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-246-7721-4

Copyright © Helion 2014

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

2012

Miasto. Znajome bramy, ulice: Traugutta, Krakowskie Przedmieście, zakręcona Karowa. Dwudziesty pierwszy wiek, życie o ósmej rano biegnie już wartko, ludzie wysypują się barwną chmarą z autobusów, płyną falami w rytmie wczesnej godziny: kaptury luzackich bluz, obok żakiety; podgolone głowy dziewczyn, długie włosy chłopców, ze słuchawkami w uszach; komórki, iPady, parasole, lekki śnieg. Dźwięk muzyki z chopinowskiej ławki i poranny szum aut mieszają się ze sobą, i z odgłosem starych dzwonów kościoła też. Panie do biur, studenci w bramę uniwersytecką, anioły do świątyń, ja do redakcji. Wstaje dzień.

Wtapiam się w nurt tej warszawskiej rzeki każdego ranka. Stukają obcasy, cudze, moje. Codzienny pośpiech, potykam się, podnoszę znad zdradliwego krawężnika. Dźwięk nagle inny? Nie klaksony, lecz turkot kół dorożki, szum krynolin i otwieranych parasolek, pokrzykiwanie fiaków, kapelusze, konie, zapach stajni... Oszalałam czy śnię o podróży w czasie? Nie, nie — to szklany kubik z pejzażem Canaletta, reprodukcja, ten sam plac i zakręt, tyle że sprzed stuleci. Obok ekspozycja: fotografie Beyera z roku 1862 tuż przy pomniku Prusa, dalej plakaty o PRL... Wiek XIX, wiek XX... Przestrzeń tamta i ta dziwnie się przenikają. Właściwie wszystko takie samo, tylko kostiumy i pojazdy inne. I pokolenia, ludzie: różnią ich imiona, peleryny, pesele, owszem, ale czy tak bardzo odmienne niosą pragnienia i lęki, podążając, jak ja, w swój dzień Królewskim Traktem?

Mieszkam w Warszawie, pracuję w wydawnictwie. Codziennie rano w centrum rozstaję się z córką, ona biegnie do szkoły, ja do pracy, za urokliwym kościołem Wizytek, za małym placem księdza Twardowskiego, kamiennymi schodkami w dół. Widok na budynki nad Wisłą jest jak oddech. Ta mowa dachów i okien codziennie inspiruje i wzrusza mnie liczbą równoległych żywotów, nie-świętych pewnie, pejzażem spiętrzonych ludzkich gniazd. Centrum miasta każdego dnia wygląda inaczej, naprawdę, może w weekendy tak samo, ale w weekendy to ja rzadko tu bywam. Wyjeżdżam...



Wież. Jedziemy trzy godziny, na północny wschód. Jest! Krzyżówka. Łąki skąpane w wodzie, rzeka. Rozlewiska Narwi raz w roku są najpiękniejszym miejscem na ziemi. Wczesną wiosną. Patrzac z mostu w Stokowie na dachy domków i lustro wody, znajdujesz się nagle w kosmicznej kuli, słyszysz ptaki, ale i głosy, śmiech i łzy minionych pokoleń. Domy z tej perspektywy są nagle małe jak grzyby, nie do wiary, że ktoś w nich mieszka. Z mostu widać też mój Domek, prosty, o spłótnionych, różowych ścianach. Rodzice zbudowali go w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Ubiegły wiek, mój Boże, jak to brzmi!

Wiejskie domy współczesne mają białe ściany, brązowe i czerwone dachy, strzech nie pamiętają wcale. Zakwita na nich zbyt często antena satelitarna, rzeka po melioracji sunie prosto, nie zakolami jak niegdyś, ale poza tym — wierzę w to głęboko — widok na wodę i łąki jest z pewnością ten sam co przed laty.

Z tego widoku, na moście nad Narwią, zrodziła się moja teoria następstwa domów. Wiem przecież: rosły tu niegdyś domostwa duże, sędziwe i drobne chaty, stał cicho Biały Domek pradziadków. Przeminięły. Przeznaczeniem domów jest, że niszczą się, płoną, ale i powracają. Przeznaczeniem ludzi, którzy domy wznoszą, przekazują potomkom, a sami odfruwają w błękit pomiędzy rozlewiska i chmury — cóż jest? Moja teoria następstwa domów jest — myślę — tyle smutna, co budująca. Co do ludzi — kwestia pozostaje otwarta.

Przychodzi taki moment w życiu, że robisz porządki, układasz sprawy i pozostałe po bliskich zdjęcia, wspomnienia, spotykasz cienie, czytasz listy, zamknięte w tej czy innej szufladzie. Kufer, stara szafa, kredens — nieważne. Przyszedł i do mnie taki czas, tu na wsi, w domu nad Narwią. Znalazłam pocztówki w sepii, pełne grzeczności, jakich nie uświadczysz w esemesach, życzenia zdrowia i długiego życia wysłane niegdyś do ludzi, których już nie ma, choć, owszem, długo żyli, bywało, że szczęśliwie. Znalazłam zapisane dobrym, niewyblakłym tuszem wyznania. Schowane w ciemnym brzuchu szafki zwanej w rodzinie Wilusiem, jako że pochodzi z czasów pruskiego cesarza Wilhelma, a przybyła tu na wschód,

daleki dla niej, aż z Poznania... Zapiski ukryte pomiędzy lekarstwami, strzykawkami, stetoskopem, buteleczką z gumą arabską i flakonikiem fioletowej gencjany do odkażania ran, choć wiadomo: nie wszystkie skaleczenia chcą się goić.

Znalazłam w Wilusiu „Pamiętnik Janki”. Tak, wiedziałam, że tam jest, ale nadszedł czas, by się do tego przyznać. Marzeniem moim stało się zapisanie, póki pamiętam, jakie imię nosiła młoda kobieta na biało-czarnej fotografii zawieszanej nad kominkiem, przyczyny, dla której ludzie na zdjęciu obok uśmiechają się do siebie. Jak przewinęły się ich biografie przez XX wiek, przez wichry wojny, przez czas budowy, niby przez film albo ruchomy plakat? Ich rzeczywistość nie do mnie należy, chociaż z niej wyra-
stam. Odziedziczyłam ją, znalazłam w szufladzie poznańskiej szafki z czasów cesarza Wilhelma. Pożółkłe kartki dużego zeszytu A4, z nierównym kobiecym pismem. Dziwnie pachnie taki stary papier. Janko, kim byłaś?

CZĘŚĆ I

Z biegiem Narwi



Pamiętnik Janki

Biały Domek, w którym przyszedłem na świat, zbudował dziadek Teofil, kiedy powrócił do Stokowa — swojej rodzinnej wsi nad Narwią — z carskiego wojska, zaraz na początku XX wieku. Nie znałam go, bo urodziłam się dzień przed jego śmiercią: 28 stycznia, czyli dziadek umarł 29 dnia tego miesiąca. Działo się to w roku 1923 i, jak twierdzi moja matka, pomimo zimy, padał wtedy deszcz.

Dziadek zmarł nazajutrz po moich urodzinach, podobno szczęśliwy, że w rodzinie pojawiła się malutka dziewczynka. Bardzo był już stary i chory. Tak to Biały Domek, wtulony w ogród, został poświęcony jednoczesnymi narodzinami i śmiercią. Jakby dopiero teraz nabył praw, by stać prosto i dumnie, naprzeciw dwóch dwustu-letnich domostw z solidnego modrzewiowego drewna, należących do rodzin osiadłych tu, na podlaskiej ziemi, od lat: Stułkowskich i Zajewiczów. Ich przodkowie przybyli tu niegdyś, na skrzyżowanie traktów wiodących w trzy strony kraju, do trzech miast: Białegostoku, Łomży, Goniądza. Ale że do każdego z tych centrów cywilizacji było ze czterdzieści kilometrów, więc życie w Stokowie płynęło własnym nurtem, a raczej nurtem Narwi i jej kaprysów, zgodnie z prawami pór roku.

Dziadek mój — Teofil Stułkowski — większość życia przesłużył w armii carskiej. Wzięty z poboru jako młody chłopak, został zwolniony dopiero jako mężczyzna czterdziestoletni. I chociaż jako szlachcic został uhonorowany stopniem sierżanta, to przecież całe jego młode życie upłynęło w dalekiej Rosji. Jedyne zdjęcie dziadka, jakie ocalało, przedstawia mężczyznę w mundurze wysokiego, wąsatego, z garbatym nosem — ale ta fotografia niewiele mówi o tym, jakim był człowiekiem. Kiedy powrócił do swojej wsi nad Narwią, nie zamieszkał u rodziców, lecz zbudował sobie Biały Domek, posadził owocowy sad i ożenił się z moją babką Kamilą. Czy była to romantyczna historia? Ba! Kamila wcale nie chciała podstarzałego znajomka rodziców, który lepiej po rosyjsku, jak po polsku gadał, a on nigdy by jej nie dostał, gdyby nie to, że była panną „z przeceny”. Córka zamożnego lekarza z Zambrowa, wykształcona, wychowywana w dobrym domu, była głucha jak pień po przebytych w dzieciństwie tyfusie. I co z tego, że niebrydka i zamożna? Mówiła niewyraźnie, śledziła ruchy ust mówiących, co nadawało jej twarzy dziwny wyraz, dlatego nie miała szans wyjść za mąż w swoim środowisku. Ojciec bardzo ją kochał, zgodził się zatem na mariaż z Teofilem Stułkowskim i bogato ją na wieś wyposażył. Podobano się chyba

ciemnowłosa, osiemnastoletnia Kama czterdziestoletniemu Teofilowi, choć głucha, a pragnął nareszcie rodzinę założyć, no i posąg panny także nie był mu obojętny. Tak doszło do ślubu. Ale jak się poznali i czy kiedykolwiek się pokochali — nie wiem. Babkę Kamilę pamiętam doskonale. Była wysoką i szczupłą kobietą, jak dama ze starych portretów: o czarnych oczach, czarnych, gładko uczesanych, bujnych włosach i ciemnych brwiach, które unosiła do góry, gdy była zgorziona lub, nie daj Boże, rozgniewana... Jej długie spódnice pachniały świeżością i jakimś ziołem, myślę, że była to woń lawendy z woreczków, które rozkładała we wszystkich szafach i komodach.

Nie sądzę, żeby babka Kamila była szczęśliwa w tym małżeństwie. Wątpliwe, czy była zachwycona swoim losem, a już na pewno nie była zakochana w czterdziestoletnim mężczyźnie, który najlepsze lata spędził w dalekiej Rosji. Jak było tak było — zjechała do Białego Domku ze swoją służącą Albertą, która umiała się z nią komunikować, kufrem pełnym strojów i białej, cienkiej bielizny, a nawet meblami. Odprawiła gospozię Teofila, miała bowiem podejrzenia co do jej dotychczasowej roli w tym gospodarstwie, i zaczęła rządzić po swojemu. Umieblowała parady pokój — pamiętam, jak się tam zakradałam jako mała dziewczynka i podziwiałam śliczne foteliki, komodę z szufladami pełnymi pachnącej bielizny i woreczków ziół.

Czasy nie były łatwe, ale dopóki żył ojciec Kamy, dbał, aby życie ukochanej córki było możliwie znośne. Kiedy go zabrakło, a i kryzys się nasilił, pogorszyła się majątkowa sytuacja dziadków Stułkowskich. Babka musiała nawet odprawić służącą Albertę, ale nieźle ją chyba wyszkoliła, bo Alberta natychmiast znalazła pracę u jakiegoś hrabiny w Warszawie i potem odwiedzała swoich dawnych sąsiadów na wsi bogato ubrana, pachnąca perfumami, tłusta jak różowa świnka. Kamila bardzo była z tego zadowolona, bo lubiła Albertę ogromnie i nie mogła odżałować jej makabrycznego końca. Otóż parę lat potem, za okupacji hitlerowskiej, Alberta przyjechała tu, na wieś, w odwiedzin i kiedy wędrowała taka duża, gruba i różowa, natknęła się na rozbestwionych i podchmielonych Niemców. Złapali ją, wcisnęli krzyczącą do bagażnika swojego samochodu, upchnęli z trudem, zamknęli i wyruszyli na przejażdżkę. Po kilkudziesięciu kilometrach zabawy wyrzucili trupa na pobocze szosy. Taki epizod okupacyjny, tak wiele ich widziałam, zbyt wiele, nie wiem już sama: ile i po co...

Nie wiem, czy Teofil i Kamila pokochali się z czasem. Na pewno byli do siebie podobni w miłości do ziemi. Mieli troje dzieci, które synęły się z początkiem stulecia: pierwsza urodziła się moja matka Marianna, potem ciotka Zenobia i niedługo

później najmłodszy — wuj Cezary. Rówieśnicy dwudziestego wieku — wraz z nim i oni osiągnęli lat dwadzieścia. Całkiem dobry okres, zwłaszcza kiedy byli młodzi, a kryzys jeszcze nie zaczął zaglądać tutaj, do miejsca oddzielonego pierścieniem lasów i zakolami rzeki, połąciami zielonych łąk od wydarzeń we własnym kraju, nie mówiąc o dalekiej Europie.

Moja matka Marianna dojrzała do małżeństwa, a z wojny polsko-sowieckiej powrócił syn sąsiadów — Edmund Zajewicz — mój ojciec. Jako ochotnik brał udział w obronie Warszawy, ale teraz Polska była wolna i Warszawa już go nie potrzebowała. Co innego gospodarka. Rodziny Stułkowskich i Zajewiczów przyjaźniły się, i nie tylko ich domy, ale i łąki, ziemia leżały blisko siebie. Wydano więc Mariannę z Białego Domku za Edmunda i młode małżeństwo tu właśnie zamieszkało, z wciąż energiczną Kamą i starym już wówczas, schorowanym Teofilem. I oto mój początek. Byłam pierwszym dzieckiem rodziców: Edmunda i Marianny. Moje życie zaczyna się i wplata w dwudziesty wiek pewnego dnia w Białym Domku nad Narwią, po ciężkim porodzie, krzykach i bólu matki, dzięki wysiłkom wiejskiej akuszerki. Urodziłam się podobno bardzo mała, ojciec żartował, że jako noworodek mieściłam się w jego dłoni.

Edmund przejął gospodarowanie, Teofil już nie wstawał z łóżka. Zniszczyła go miłość do koni, bo dla nich nadwerżył zdrowie i siły pod koniec pierwszej wojny światowej. Przybyłe wówczas do Stokowa wojska rosyjskie zażądały koni. Dziadek nie mógł się z nimi rozstać. Sam pojechał na podwoję, nie dojadł, brał udział w walkach, o konie dbał jak mógł, a o siebie wcale. Wrócił po wojnie bardzo chory, położył się do łóżka i już nie wstał, nawet mimo wielkiej radości z odzyskanej Polski. Babka Kamila zatrudniła chłopaka do koni, które dziadek jakimś cudem ocalił i przyprowadził do domu. Kare rżały, a dziadek uśmiechał się szczęśliwy... Pierwszą wojnę rzadko wspominał, nie chciał do tego wracać. Kiwał ze zrozumieniem głową, gdy przez wieś przebiegał sąsiad Franek. Ten powrócił z frontu całkiem przetrzącony psychicznie. Brał udział w walkach pod Verdun, a to, co widział, tak poprzestawiało mu w umyśle, że biegł przez wieś i oszalały wrzeszczał: „Ścierwo! Ścierwo! Ścierwo płynie wodą, patrzcie, krew i ścierwo...”. Teofil tylko kiwał głową, a gdy Franciszek się uspokajał, chętnie wypijał z nim flaszkę wódki...

Płynęły lata międzywojenne, nowoczesność zaglądała do miast, w Stokowie jednakże sprawy toczyły się jak przed wiekami. W Białym Domku rządziła niepodzielnie babka Kamila, nawet po śmierci męża, ślubie córki i wprowadzeniu się zięcia.

Kama. Zawsze myślę, że żyła zgodnie z rytmem natury. Wiosną wychodziła do swojego ogrodu, a wszystko musiało w nim być piękne, najpiękniejsze w całej wsi. Jej warzywa, jej zadbane jak żaden inny sad, dom świeżo wymalowany, krzewy podcięte. W maju wystawiała na dwór donice oleandrów, które całą zimę hodowała w domu pośród swoich posażnych komód. Takiego kwiecia Stokowo wcześniej nie widziało! Drobiazgu kwietnego, stokrotek jakichś tam albo bratków nie uznawała wcale, wszystko musiało być okazałe i imponujące.

Kamila miała białe, niezniszczone ręce, bo zawsze używała rękawiczek. Mimo ciężkiej pracy zawsze zadbane, w bluzkach pod szyję zapiętych broszką z kameą, w ciemnych szeleszczących spódnicach, wyglądała tak, żeby w każdej chwili bez wstydu móc przyjąć niespodziewanych gości. Musiała żyć we własnym świetle ciszy, ale była wszędzie i robiła wszystko. Wypełniała sobą dom i ogród. Była kobietą nieprzeciętną, i dzięki niej Biały Domek był rzeczywiście zupełnie odmienny od domów sąsiadów. Pomieszczenia w nim były jasne, a okna niskie, wyskakiwałam z nich nieraz prosto do sadu. Ogrodzenie z niziutkich sztachetek odgradzało posesję od drogi, wiosną magnolie kwitły przed domem w wielkich donicach, do ścian tuliły się bzy białe i liliowe, a otaczał dom śliwkowy sad, kwitnący wiosną, jesienią bogaty w pękatę, niebieskie węgierki. Pyszne.



W zimie chodziliśmy często odwiedzić drugich dziadków — rodziców mojego ojca — Michalinę i Fabiana Zajewiczów. Ich dom, ten najstarszy we wsi, właśnie skończył 250 lat! Postawił go pierwszy Zajewicz, który osiadł tu, w zielonym zaciszu nad rzeką, jeszcze w wieku siedemnastym, po wojnach ze Szwecją. Praprapradziadek się pobudował, rodzinę założył, wojować przestał, a zabrał się za gospodarowanie. Dostał podobno tę ziemię za zasługi w bitwach od hetmana Czarnieckiego, tego samego co stoi na pomniku w Tykocinie, nieopodal Stokowa. Jakie zasługi — nie wiem, nikt tego nie zapisał, a szkoda. Budynek za to pamiętam dobrze. Och, co to był za dom! Pełen gwaru i gości. Zjeżdżały się ciotki — siostry ojca, wszyscy zasiadali przy wielkim piecu ze zdobnymi drzwiczkami, w głębi płonęły gałęzie jałowca, babcia Misia pitrasila w kuchni coś smacznego, a za oknem trzaskał mróz... Rodzina była duża, bo babka Michalina, mała, żwawa kobietka, urodziła Fabianowi dwanaścioro dzieci. Troje umarło we wczesnym dzieciństwie, czwarta, Amelia — na suchoty w wie-

ku 17 lat, a reszta: cztery dziewczyny i czterech chłopców, w tym ojciec mój, jakoś się wychowała.

Dom Zajewiczów rozłożył się na strych pełnym rupieci, które zapewne świadczyły o życiu dawniejszych jeszcze pokoleń. Stał tam kufer i wielkie szafisko, w którym na własne oczy widziałam stary kontusz. Samowary, chodniki stare plecione, kołowrotki i duchy... z pewnością mieszkaly tam, skąd w innym razie brałyby się dziwne jęki i pogwizdywania w ciemne jesienne wieczory? Dorośli nie przejmowali się tymi dźwiękami, może ich zresztą nie słyszeli, bowiem najchętniej przesiadali w kuchni. Olbrzymiej, niskiej kuchni, do której wchodziło się z sieni. Miała sufit z desek, wsparty belkami, przy ścianach dookoła stały zydle i drewniane ławy z oparciami, a pośrodku na grubych nogach imponujący, prostokątny stół! Nie ma już od dawna takich wiejskich domostw drobnej szlachty ani ich świata, którego centrum stawiała się wieczorami i w święta obszerna kuchnia, tu śpiewano piękne pieśni, nieraz mężczyźni grali w karty, a kobiety przędły. Za dnia wszyscy pracowali, zima to matka wymagająca, a wykarmić tylu ludzi łatwo jej nie było. Ale wieczorami, w tej rozjaśnionej ogniem kuchni, śpiewano pieśni legionowe i stare rosyjskie romanse Wertyńskiego. Bóg jeden wie, skąd je znali, bo wiejskie piosenki po prostu przechodziły z pokolenia na pokolenie. Babka Misia, choć w żadnym wypadku nie mogła czytać dzieł Słowackiego, śpiewała często balladę o siostrach, co poszły na maliny: „...która więcej jagód zbierze, tę za żonę pan wybierze, ta będzie panią...” — pamiętam to doskonale, potem w szkole nie mogłam pogodzić się z tym, że to Słowacki, nie babka Misia. Mój ojciec miał piękny głos, śpiewał czysto, a głucha Kama fałszywie, ale z wielką mocą. Siostra ojca grała na gitarze, brat na harmonii. Stara ballada wojenna o tym, jak „wieś cała śpi spokojnie i nawet o tym nie śni, że nie jest tak na wojnie, jak jest w żołnierskiej pieśni”, brzmiała szczególnie nastrojowo w zimowej ciszy, kiedy zasypywało nas śniegiem, a chaty zatopione w bieli błyskały światłami okien. Paliliśmy przy tych pieśniach lampy naftowe i świece, elektryczności przecież wtedy w Stokowie nie było.



Pamiętam postać dziadka Fabiana Zajewicza — z książką w sadzie albo przy ulach, światowy siwy starszy pan, wciąż zatroskany brakiem pieniędzy. Mimo trosk owych, miał duże poczucie humoru. Kompletnie nie nadawał się do pracy na roli. Za dobrych

czasów kształcił się w Petersburgu, jeździł do Rzymu, wreszcie ożenił się z babką Michaliną, bo w planach rodzinnych byli sobie przeznaczeni od dziecka i wiedzieli o tym. Prababka Marcelina podobno wołała małą jeszcze dziewczynkę do swojego płotu, częstowała ciastem, gładziła po jasnych włosach i mówiła: „A ty, Michciu, będziesz moją synową!”. Fabian był delikatny, wciąż fantazjował i za dużo czytał. Nie miał głowy do gospodarowania, w jego domu rządził zresztą główny parobek Marcys. To on wychowywał dzieci, zarządzał pracą ludzi, bo dziadka Fabiana ciągle coś po świecie goniło — wyjeżdżał w dalekie podróże, a kiedy akurat siedział w domu, to bynajmniej nie siedział, lecz bywał w gminie, wtrącając się w urządowanie, albo polował. W domu było pełno dziczyny. Marcys rządził żelazną ręką, a ojciec wspominał, że nie żałował chłopcom różgi. Uczył ich pracy i miłości do tej ziemi. Mimo że był parobkiem, wychowywał się z dziadkiem i przyjaźnił, był traktowany jak członek rodziny i nikomu tak dziadek nie ufał jak Marcysowi. Rodzina Zajewiczów była dość zamożna, ale zbyt liczna, by starczyło dla wszystkich ośmiorga dzieci na posagi i dobre życie, i w następnym pokoleniu zamożność podupadła.

Babka ze strony ojca, Michalina — mała, kopiasta w swoich spódnicach, mniej mi była bliska niż Kama. Oto co zapamiętałam: nie lubiła kapeluszy. Nie lubiła i już. Zawsze nosiła piękne koronkowe szale, które dziadek przywoził jej z podróży. Była dość wykształcona — umiała nawet czytać po polsku. Gdy była młoda, czyli hen, jeszcze w wieku dziewiętnastym, zimową porą przyjeżdżał do wsi nauczyciel i zbierano się w małe grupki, by poznawać polskie litery — w wielkiej tajemnicy, bo gdyby rzecz się wydała, wszystkim groziła wywózka na Sybir.

Michalina była jednakże dzielną kobietą. Rok tysiąc dziewięćset dwudziesty zastał ją bez męża, bo dziadek Fabian zapodział się gdzieś po wojnie, w legionach pozostawał jeszcze najstarszy syn Aleksander, piłsudczyk, a kolejny syn, Edmund — mój ojciec — poszedł bronić Warszawę przed Sowieciami. Została sama z dziećmi, służbą i gospodarką, w dodatku wycofujące się wojsko polskie zakwaterowało jej rannego żołnierza w ciężkim stanie. Stokowo nasze, choć to wioska mała, za każdej wojny musiało znaleźć się na linii frontu. Polacy odeszli — a następnego dnia wkroczyli bolszewicy. Pierwsze co zrobili po wejściu na podwórko — zastrzelili na oczach babki młodego parobka. Michalina wpadła we wściekłość. Biegłym rosyjskim skłęła ich na czym świat stoi, tak, że najeźdźcy stanęli oniemiałi. Mieli chyba wrażenie, że nagle znaleźli się w swoim domu i ruga ich socyście rodzona matuszka!

Szybko jednak oprzytomnieli i myśląc, że zabili tej kobiecie syna, kazali prowadzić do domu. „Gdzie drugi syn?”. Pewni byli, że ma jeszcze jednego. Michasia śmiało otworzyła drzwi i pokazując rannego żołnierza, powiedziała: „Prigłaszajem, mój syn wot, zdzies’ tam, bolien. Tyfus. Umrze i tak”.

Bolszewicy w popłochu cofnęli się od progu. Bali się tyfusu jak ognia. Usiedli na podwórzu, na szczęście szybko nadszedł rozkaz dalszego pochodu, więc zrabowali, co zdążyli, i odeszli. Pytałam potem babkę, co wtedy czuła, ale potrząsała tylko głową i mówiła: „Żegnałam się z życiem, Jasiu!”.

Kiedy przeszła nawałnica bolszewicka i nastał pokój, powrócił z wojska najstarszy brat ojca — Aleksander. Nie sam — przywiózł ze sobą młodziutką, ciemnowłosą żonę Sabinę. Była słiczna. Za cały majątek miała jednakże kufer strojów, piękny głos i urodę. Michalina przyjęła ją ciepło i o nic nie zapytała. Miała już chyba dość wojny, tęsknoty za synami, niewiedzy, chciała mieć rodzinę pod jednym dachem.



Wieś nasza, Stokowo, miała oczywiście więcej dymów niż tylko wspomniane trzy chałupy. Jej osią, kręgosłupem wioski, była jedyna, w części brukowana droga, przy której rzędem stały domostwa: sąsiadów, kuzynów, parobków, także i żydowskie chaty. Tu wierzbina, brzoza, tam wiąz przed domem — drzewo dziadków ulubione... Droga biegła równolegle z nurtem Narwi, a krzyżowała się z obsadzoną jedynie wierzbami szosą wiodącą „ze świata” do mostu, pamiętającą jeszcze czasy carskie i przemarsz Napoleona. Krzyżówka dzieliła Stokowo na dwie strony — „brzezi”, mówiło się zawsze: „idę na drugi brzeg wsi”. Krzyżówka owa była też centrum wioski, miejscem spotkań i wymiany informacji, bowiem odkąd pamiętam, stała przy niej pochylona ku ziemi żydowska karczma, ze strzechą i małymi zapyziałymi okienkami, z brodatym Izraelem w fartuchu karczmarza na progu. Gość z dalekiego świata, zapłątany niekiedy w te strony, także w karczmie się zatrzymywał, opowiadał, co tam za rzeką, za lasami, po czym, podążając traktem na wschód lub zachód, na szczęście malał i znikał u jego kresu.

Po drugiej stronie szosy właśnie mieszkała ciemnowłosa Irenka, dwa lata starsza ode mnie, pełna energii i pomysłów córka naszych kuzynów Kownackich. Bawiłyśmy się razem świetnie w ich sadzie, a kiedy nadeszły chłody, w obszernym domu. I sadów takich już dziś nie ma. Olbrzymie grusze tykwy — jakubówki rosły obok jabłoni

jak sobie chciały, nikt tego nie kontrolował. Gąszcz wiśni, czereśni, malin. Miałyśmy z Irenką zakątek pod drzewami, tak zaciszny, że nawet wiatr wiejący od wody nie śmiał do nas zajrzeć. Wchodziłyśmy zgięte do swojej zielonej norki. Zgromadziłyśmy tam stare talerze, skorupki, formy na babki z piasku i jedną, porządnie uszkodzoną, szmacianą lalkę. Tam bywałam matką, ciotką, siostrą, tam przyjmowałyśmy wyimaginowanych gości. Chwasty stawały się wspaniałym sałataci, tortami i mazurkami... Irenka wołała przyjęcia mniej wystawne, częstowała swoich gości kołdunami z piasku, bo ciast nie lubiła i w zabawie była wierna swoim gustom.

A dom kuzynów Kownackich większy był znacznie od naszego Białego Domku, był pięknym, rozłożystym domostwem zbudowanym ze starodrzewia. Drzwi nabijane wielkimi ćwiekami, ciężkie, bezpieczne, za nimi wielka sień wybrukowana kamieniami i szerokie drewniane schody na górę. Najcudowniejszy jednak był w domu Irenki strych: pełen tajemnic, ciemny, z małymi okienkami, pachnący ziołami i jabłkami, obwieszony sznurami czosnku i ziół. Kiedy padał deszcz, tam przenosiłyśmy się z zabawą...

Pamiętam, jak pewnego dnia wybrałam się do Irenki pięknie wystrojona, bo ciotka z Warszawy przywiozła mi w prezencie czerwony beret. Bardzo byłam z niego dumna i sunęłam przez wieś z całą satysfakcją, pewna zazdrości, jaką wzbudzi mój beret. Wkroczyłam na podwórkę Kownackich pełne drobiu, gdzie niepodzielnie rządził król Indyk. Na widok mojego beretu wpadł w tak straszliwą złość, że nie miałam szans ucieczki. Z gulgotem, który zapamiętam do końca życia, wskoczył mi na głowę. Myślałam, że oto nadszedł mój finał — kres istnienia dziewczynki w cudownym, czerwonym berecie, który wylądował w paskudnych odchodach ptactwa. Ojciec Irenki wypadł z domu i wybawił mnie z opresji, ale próżność moja, jak i beret, zostały zniszczone na zawsze.

Dom Kownackich spłonął w trzydziestym dziewiątym, a oni sami przenieśli się do rodziny na Mazurach i tam przetrwali wojnę.



Dom dziadków Zajewiczów potężny mi się wydawał i gwarny. Dom Irenki Kownackiej — jak jego rodzony brat, nawet ramy okienne ozdobione miał identycznie, zapewne na jego wzór był budowany — bezpieczny. W pierwszym przyglądałam się dorosłym, wystrojonym ciotkom, wąsatym wujom. W drugim bawiłam się pysznie

z Irenką. Ale ukochany i najbliższy memu sercu był nasz Biały Domek. Codzienne drzwi, prowadzące do sieni, były nabijane gwoździkami o dużych łebkach. Za ciężkie dla mnie, dziewczynki kilkuletniej, otwierałam tylko te paradne, dla gości i wymykałam się na podwórko. Wdrapywałam się na drzewa, za co mnie karcono, na wołanie z głębi kuchni: „Janeczka, Jasia! Kolacja!”, biegłam głodna, by nasycić się świeżym mlekiem i pajdą chleba z miodem. Całe nasze życie rodzinne toczyło się w wielkiej kuchni o białych ścianach, z olbrzymim piecem, przylegały do niej po bokach pokójki służące tylko do spania. Drzwi od kuchni nie zamykano na noc. Sypialenkę miałyśmy wspólną z babcią Kamą, potem z siostrą moją młodszą, Cezaryną. Często w mroku nocy budziłam się i widziałam zarys kobiecej postaci ogromnej tak, że jej głowa nie mieściła się w izbie i ginęła pod sufitem. Nogi i ręce miała grube i ciężkie, na sobie brzydkie, szare ubranie. W wielkich rękach trzymała małą harmonię. Słyszałam, jak ochryple mówi: „Jestem Hermina”, a harmonia powtarzała za nią okropnym rzępoleniem: Hermina... Hermina... Hermina... Nakrywałam wtedy głowę kołdrą i strasznie bałam się tej Herminy. Czułam, że zwiastuje niedobre zdarzenia, a może wszystko, co wkrótce miało nadejść, kotłowało się niepewnym przecuciem, senną wizją w mojej głowie i taki przybierało obraz. Rzępolenie trwało, a ja czekałam, kiedy upiorzycza sobie pójdzie... Sen o Herminie skończył się pewnej nocy. Po prostu nie powrócił.

W Białym Domku mojego dzieciństwa było ciepło. Ciepłem promieniały ściany, ten dom wydawał się wieczny, bezpieczny nie tylko dla tych, co żyją teraz, ale i dla tych, co przyjdą po nich... Pozór, nie ma nic trwałego. Niemcy spalili Biały Domek w trzydziestym dziewiątym roku.

Babka Kamila zmarła już po wojnie, w roku 1950. Miałam już wtedy 27 lat i właśnie wyszłam za mąż. Bardzo kochałam Kamę, a ona mnie. Matka moja szybko urodziła drugie dziecko. Młodszy brat Antoni pojawił się, kiedy skończyłam dwa i pół roku, i on stał się obiektem miłości rodziców, ale dzięki babci Kamili nie czułam się pokrzywdzona. Lubiłam dotyk jej miękkich rąk i zapach spódnic, z dziecięcych lat ją właśnie pamiętam najbardziej — nie matkę czy ojca. Lepiej już brata matki — wuja Cezarego, jak wyciąga do mnie ręce i podnosi mnie z podłogi. Ale najwyraźniej żyje w mojej pamięci babka Kamila, widzę oczyma duszy, jak śpiewa w Wielkim Poście pobożne pieśni o Męce Pańskiej. Głuchota nie pozwalała jej śpiewać czysto, ale głos miała mocny, słowa pieśni trafiały mi do wyobraźni i budziły prawdziwą grozę.

Z okna Białego Domku widać było dach stodoły, tam właśnie wyobrażałam sobie Chrystusa dźwigającego krzyż. W wiejskiej kaplicy, przebudowanej w kościół, dokąd chodziliśmy na mszę, widziałam obrazy męki, w tle gaje oliwne i dziwnie ubranych ludzi, którzy krzywdzili Chrystusa. A nad naszą stodołą unosił się w promieniach z aniołami i tak mi go było szkoda, że musi opuścić swoje oliwne gaje... Na pojęcie okrucieństwa lub też nauki chrześcijaństwa byłam za malutka. Ale ten Chrystus nad stodołą w Stokowie to jedno z pierwszych wspomnień, choć nie najwcześniejsze. Najpierwsze to jakiś różowy obłok. Kłębił się, otulając mnie sennym ruchem... Może stara drewniana kołyska, w której wychowało się kilka pokoleń dzieci, miała takie czarodziejskie właściwości? Potem Kamila pokazała mi rzekę, Narew — zapewne z okna — i to było wielkie przeżycie. Tysiące iskerek tańczących na wodzie. Bardzo ją kocham, rzekę i wodę, chociaż może to dlatego, że jestem spod znaku Wodnika i podobno rodziłam się — mimo stycznia — w strugach deszczu.

Spis treści



CZĘŚĆ I Z BIEGIEM NARWI

1. Podlasie 1946. Janka	21
2. Mazury. Leszek	43
3. Spotkanie. Janka i Leszek	55
4. U progu dekady	69

CZĘŚĆ II POZNAŃ

5. Ulica Świętego Czesława	85
6. Dziedzictwo pokoleń	102
7. Lato '50	114
8. Studia i miłość	127
9. Przeszłość to dziś	137
10. Pożegnania	156

CZĘŚĆ III BIAŁYSTOK

11. Wolni i bogaci	171
12. Wiosna '56	180
13. Zosia	188
14. Cezaryna	199
15. Białostockie życie	210

16. Jesień '57, Warszawa	220
17. Białystok, wiosna '58	227
18. Zawirowania losu	237
19. Pozostaje wspomnienie	251

CZĘŚĆ IV LATA SZEŚĆDZIESIĄTE

20. Smak pączka	267
21. Nowe znajomości	280
22. Nieufność	292
23. Upór losu	303
24. Prawo uczuć	310
25. Złe fale	326

CZĘŚĆ V PORT

26. Następni	353
27. Ku normalności	363
28. Plantacja	374
29. Wróć po ciebie	384
30. Niespodzianka	396

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

